

ZBIÓR WIERSZY

**WŁODZIMIERZA
PIETRZAKA**

**Wydany w serii
BIBL. KLUBU ARTYST.**

„S”

GENEZA OPOWIEŚCI

Opowieść tyle ma rozdziałów, ile plam na
skrzydłach biedronki
na ave maria naliczą kolorowym wieczorem
fiołki, w sierpniu fioletem pachnące jak wiosną
ongiś.

Dnia syty bohater do snu się położył
w dziewannach, -
przeżyte miasto przyjdzie jak zjawą, którą
trzeba odepchnąć,
lasem przesłoniwszy oczy.

Na piasku szyszka, przez człowieka zdeptana,
zagradza ścieżkę lepkiej gąsienicy.
Błony libelli myśli przenoszą
Do białych brzoź.

Pytam noc-

Na wieży klasztoru niebo omdlewa z rozkoszy
i do nabrzmiątych piersi przygarnia w krwi
gasnące
rude złotogłowie słońca.

POŁUDNIE

Po garbach moreny trzęsie się zakurzona szosa,
w błękitność pachną lipy ciepłem południem,
pochyłością pola w dolinę spadają w złotokłosach.

Rzeka pieni się skwarem,
a woda dojrzewa życiem, które powstaje.

Niski horyzont wokół zadrzewił się lasem-
z za drzew się wychylił zielonowłosy nagi bożek
i w pąsach powiedzie nad wodę smukłe siostry
brzozy –

białej kory lekkie koronki
spadają na wąski szmaragd łąki.

Syci się słońce mocą, której jest tak dużo,
że z mięśni się zerwie wichrem i burzą!

SOSNY JAK PANNY

Sosny jak panny o fioletowej wysmukłości nóg
nad niskozielonym dwurzędem młodych gajów.
Niechcąca pod górę toczy się droga,
wyżej – z lazurem nieb w zieloność rozstaje.
Popołudniem milknącym leże w brzuku świerszczy
i z ziemi podnoszę
pyłące się spalenizną słońca kłęby wrzosu.
Tak będzie: miękka, przez palce płynąca,
rozchodnice we mchach- i drzewa. różowość,
Spręży się
ramię:
przybłąkała się dawno nie mówione słowo,
- cofnięty, przygasnę w spokoju.

Całej ziemi jednym objąć nie można uściskiem.

Otwieram oczy: barwami się leje rozpusta cudu,
dobrze byłoby wtopić nogi i ręce
w glinę, na której stanął kościół
las
Za słońcem odpływam powoli,
a tak mi to rosło drogie i bliskie.

WIERSZ DO JANA KOTTA

Biegnać po deszczu, męczysz się słowem,
które naprężno ludziom opowiesz-
słowo i sens są liturgicznym symbolem:
wyjdź o zachodzie w równinne pola,
popatrz w złotem krwawiące niebiosą
i –
jak się na wiatr
faliste kładą wykołychy żyt - - -
w seradeli się kropli srebrna rosa

IMIENINY BEZDOMNE

Bóg mi oddał słońce, drzewa
i wiatr, melodię z ust porywający.
To, co się polem ciągnie po za mna,
dziś traci barwę, wzamian: zaśpiewa.
Drobne sito obłoków cedzi lzaur
i wchłania myśli, jak ptaki, odlatujące.
Zapatrzony w siebie, gra Joan hrabia Ujhazy
tym, co są bez ojczyzny, -
wszak podobieństwa nikomu nie można dowieść-
można mieć bliskość ćwierćtonu w palcach
i głowie.
Pochylonej w głąb lasu.

Szumi. Dzisiaj zwiedzam świat, we mnie sklepiiony,
gablotki, pełne zakurzonych pamiątek.
Trudno z serca podnieść dźwięki, ułożyć-
takt czwarty płacze się aż z dziesiątym.
Teraz- cisza się łamie w gałęziach- potem
akord

sam swoją przeżywam samotność, sam ...
pamiętam siebie: myśl, ręce, ciało,
które w lepkość błota chciwie podałem.
Zamyślenie posępne dalej ścieżką poniosę-
takie rzeczy, które być mogły- a, przecież,
nie są- ?

Laska w pół przecina przydrożny oset-
Wieczór połyka lapis lazuli nieba.

NOKTURNY

1.

Dzień jest pozbawiony chwili, coby zastygła
w szklanej klepsydrze niesypkim spokojem piasku;
sypie, sypie się czas, wciąż obok i opodal-
znowu wieczorne blakną zorze – czerwone
odblaski

schodzą za las – wyziębłe, niskie i nikłe.
Dla kogo na niebie jasne się słońca paliły,

kto brał pszeniczne uśmiechy złocących się pól-?
To było czyjeś – i obce, na pewno nie moje –
a za to, patrzeć mi wolno w gwiazdy pochyłe,
które podnosi noc.

Jest we mnie ogień, o w oczach błyska
niepokojem

i z piersi niesie szelest palącej się waty-
płomień za brzegi ust tryska złotym popiołem, -
popatrzcie, rozgrzebcie:
błękitna ambicja, słów lila patos fioletowy,
usta nieziszczeniem jak owoc granatu pęknięte-
pełna głowa

2.

Rdzewiejący karmin na liściach klonu
Usycha w pomarańczowym powiewie
przybłąkanych wiatrów – dzień jest zmęczony,
do niechętnych drzew tulą się słabe krzewy.
Przebłysk zacisza- w przesum porwanym
powietrzem
oddycha przeżyta niezmierność godzin –
czas: - rozległa i niemartwa równina,
kędy się wlecze
powolne wspomnianie o wschodzie
dnia,
którego jeszcze nie znam.

To nie cisza nocy, której można dotknąć, -
nie szum drzew płaczących-
i nie żegnanie gasnącego słońca.
Widać głęboką czarność- mrok jest za oknem.

Usypiające fale barkaroli budzi się
rozdźwiękiem:
łagodność napoju z brzegu spita- wchodzi ostry
mrok
i niewidoczną drogą białym obsypuje lękiem.

TEŻDY JUTRO ODEJDE

O zmierzchu w martwość zaklął się las-
oczy mam pełne gładkiego spokoju:
może to już i czas
niebem siebie przerzucić najszerzej, najdalej!?
nasiały cisza kamienną, chojar wyniosły,
między rzeszą sosen stoję.

Błękitnawy zalew
zachodu wsiąka w dotkliwą zieleń lasu,
krew się nad horyzontem cynobrem podniosła-

poczekam, jeszcze może poczekam, a potem –
przez gwiazdy przesypię białomleczną drogę
- może to już i czas-
tędy jutro odejdę, otulony chłodem,
śląd moich stóp zostanie na piasku gwiazd.

niebem siebie przerzucić najszerzej, najdalej!?
nasiały ciszą kamienną, chojar wyniosły,
między rzeszą sosen stoję.

Błękitny zalew
zachodu wsiąka w dotkliwą zieleń lasu,
krew się nad horyzontem cynobrem podniosła-

poczekam, jeszcze może poczekam, a potem –
przez gwiazdy przesypię białomleczną drogę
- może to już i czas-
tędy jutro odejdę, otulony chłodem,
śląd moich stóp zostanie na piasku gwiazd.

BŁĘKITNOŚĆ UŚMIECHU

Uśmiech zbłękitnianą spada kaskadą
pozwól mi twoje oczy i usta zebrać
w lazurowe jezioro: nad brzegiem wyrosną
smukłe i zamyślane limby- cień twych palców
i niebo może się będzie w wodzie przeglądać.
To coś innego – daleka i niepewna radość,
którą śpiewałeś w angielskim walcu –
pomyślę s e l w y i Morza –

myśl jest jak ekran:
szczęście świetlistem toczyć się będzie półkołem
i elipsą, po szyję zapiętą w domino.

Gwiazdy nie płoną niebieską nocą na czole-
dzień zgasi niebieskość.
Przez okno uśmiechy w najszcześniejszej podróży
błękitną ręką rzuci dziewczyna
na usta,
z których zadymką srebrny śnieg się pruszy –
pocałunkiem uśmiech zanieść do domu,
nie mówić i tobie, i nikomu,
że buldeneże w czerwcu zakwitły
barwą błękitną.

WIOSNA WARSZAWSKA

Wandzie Przeradzkiej

ALEJE UJAZDOWSKIE

Srebrny samolot wisi nad miastem,
po balkonach wiatry się kołyszą-
otwarte parki manifest piszą
wiosennem słońcem przez zielenie trawiaste.
W oranżerii płonie pożar kwiatów,
myśl jest pastelą, lekką jak lazur,
pendzlem rzucony na tło obrazu, -
fantazja jak motyl przez słońce przelata.

PLAC TRZECH KRZYŻY

Słońce – reflektor oddali
na ciepłych kamieniach – przecież, wiosna tak
blisko.
Na skwerze niecierpliwie ćwierkliwy świergot,
rzeczowniki naoślep skaczą w przysłowia-
wróble na gałęziach rosną: tam , wysoko, i tu, przy
ziemi – nisko.
Pod balkonem z otwartych dziobków piją swoją
wiosnę
gołębie tkliwie przytulone.
O dniu blakną rusztowane reklamy-
w kinie każdemu wolno kochać piwo
Haberbuscha-
neon więdnie na tarasach,
litery: palmy.
Właściwie
poetyzować wolno, byle się nie wzruszać
- blisko są drzewa, aleje,
na rogu, w kwaciarni, można kupić dwa storczyki
i iść na spacer-
z tobą się może spotkam, a może i z nikim.

ZAGADKI

Speranza

Do drogi przypięte balony wierzb, wiatrem nadęte,
ukośny bieg słońca pod bawełną chmur –
oczy, otworzone z powiek,
drzewa, a w siność zachodzące rzędem,
siność.

Czekać, odszukawszy słowo. Słowo po słowie
Dobyć z otwartego owocu
przybliżającą się noc.

Sangue

Nieprzenikniona – noc .Lamy gaszą mrok.
Podchodzi wodą brunatną falą, fala zatapia
głos, ciężki jak bronz; gardło w uścisku
dusi kosmata i wilgna, szeroka łapa –
ziemia się chyli i zniża- wyżej, - zbyt nisko.
- oddalenie-
na wargach zapala się krew
- przeklinam!
narkotyk, wstążka zielonosina.

Turandot

Wtedy,
Kiedy pokaże ci architekturę
serca,
nad oczami, obłokiem spięte, wespnie się niebo,
wystrzeli jasny pocisk ostrego gotyku,
złotem pachnący sopran odchyła się blachą
na dachach, -podam ci siebie
w miękkim dotyku
warg.

ZBŁĄKANE SŁOWA

Pola się pyłą pod nocą, która nadeszła
wszędzie i zewsząd: jest gęsta i ciemna, nie boli.

Mokrą świeżość łapczywie chłepczą wargi
opierzchłe,

oczy kładą się tam, gdzie być powinno
pole.

W mroku sto stóp stąpa- tam i obok,
za człowiekiem pięcioramienny ból,
ból,

który nim nie jest nie jest tobą,
nie boli miękka i pełna noc .

W dzień, kiedy się jeszcze światło jarzyło,
tędy chodziłem

odtąd – planimetria – linje się nie przetną.

W ten trzeba żyć – może, gnuśnie się bawić,
można lalką się bawić, pociągiem na szynach,
człowiekiem na linie. Człowiek może być zjawą,
która pod lampą się topi.

Jest pole, w oddali łyska światło,
snop, wspominam-

miasto zaduszonych domów, giną ślady.

Odejść – dalekie i czyjeś światło, pojedę
w noc.

Błąkam się, ciemno. Głośno. Nie płaczę.
Boli. Boliż mnie ty. To jest ciało moje.